



Mowa Ojczysta

Gdy świat się zagubił w zmaganiach gmatwaninie
Nasza myśl się znalazła na chwiejnej pochylni
I tak się chybotce i w nieznanie płynie,
Choć niektórzy twierdzą, że będziemy silni.

Kto w rozterce ducha i myśli błądzącej
W mowie ojczystej nie szuka oparcia,
Kto w sercu nie czuje miłości gorącej
Do swej mowy – ten godzi się pożarcia.

Hańba dla pokoleń to utrata mowy:
Odpryski młodzieży to choroba rdzenia,
Utrata języka to więcej niż głowy,
Wiary w Polskę utrata – skażenie sumienia.

A gdy się tak przetopi młode pokolenie
Na takich cudzoziemców co nam zdradę szyli,
Nikczemnym się stanie to nasze sumienie
I tych przyszłych ojców co mowę stracili.

Franciszek Lachocki.

Stowarzyszenie Polaków w Victorii Biały Orzeł

Dom Polski

90 Dock Street,
Victoria (James Bay)

Lekcje w Szkole Polskiej

odbywają się w soboty o 10:30
w Domu Polskim

Biblioteka w Polskim Domu

czynna jest we wtorki (1-2:30)
i w soboty (10-12)

Koło Seniorów zbiera się w

Domu Polskim we wtorki (1-3)

Msza Św. w języku polskim

Kościół Sacred Heart

4040 Nelthorpe
w każdą niedzielę o 12:15.

Media

Radio na 102

CFUV 101.99 FM w niedziele
o godzinie 10 rano. Audycję
prowadzi Grażyna Sommerfeld
CFUV.com

STRONY

Magazyn Rozmaitości
www.strony.ca
tel. 384 4759 cell 220 1888

Polskie Sklepy

Cook'n Pan Polish Deli

1725 Cook St
385 5509

Touch of Europe Deli

105-2504 Government St
384 4204



Gościnne występy

Chór Lasowiaczy, który dał gościnny występ w Domu Polskim 2 października 2009, to zespół o ponad 50-letniej tradycji. Przedstawili nam oni wiązanki ludowe z regionu południowo-wschodniej Polski i nie tylko.

Koncert był wspaniałym pokazem piękna poezji ludowej, nierzadko pełnej humoru, wykonanym z pełną harmonią głosów i perfekcyjną choreografią.

Ryszard Rudzki

Polska szkoła

Zaczęła się szkoła. Nie tylko codzienna kanadyjska szkoła, ale również Polska Szkołka przy Domu Polskim. Polska Szkoła w Victorii ma długoletnią tradycję ale uczniów obecnie w niej mało. Jak co roku wybraliśmy dla swoich dzieci zestaw zajęć pozaszkolnych: muzyka, hokej, tenis, pływanie, francuski może? A co z polskim?

Niedawno poznałam człowieka, któremu młodość upłynęła w naszym Polskim Domu. Jego rodzice ten dom budowali, a potem traktowali jako swoje miejsce celebrowania polskości, takiej polskości, jaką ze sobą przywieźli. Słabo mówi po polsku, ale coś go ciągnie do tego miejsca.

My jesteśmy z innej bajki. Wielu z nas nie ma konceptu, co to znaczy żyć bez polskości.

W domach telewizja polska, w mieście polskie sklepy, jest telefon i Internet. Wielu z nas nie ciągnie do polskości, albo powiem inaczej, wielu z nas stworzyło tu swoje własne Polski bez Polski. No, bo jednak najlepiej się czujemy w swoim polskim gronie. Nasze dzieci to już co innego.

No, ale może, jeśli będą znać jeszcze jeden język, to będzie im lepiej w życiu, może łatwiej będzie im się nauczyć trzeciego i czwartego języka. No i zawsze jeszcze mają szansę stać się obywatelami Zjednoczonej Europy i wtedy dobra znajomość polskiego może im się przydać w zawodowej karierze.

Polska szkoła w soboty
od 10:30 do 13.



Grażynie i Dance Sommerfeld oraz polonijnej młodzieży podziękowania wielkie za wspaniale przygotowany spektakl o II wojnie światowej i Powstaniu Warszawskim



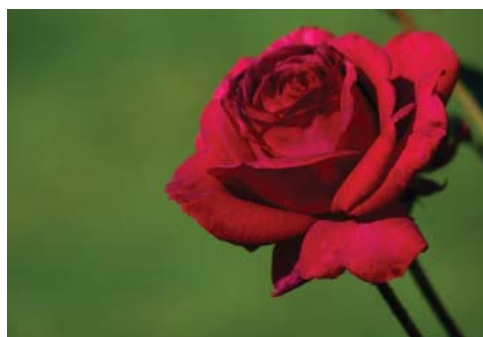
Pawłowi Romaniszynowi za ufundowanie kwiatów na spektakl podziękowania składa Zarząd Białego Orła.



Monice Kurc za wkład w upiększanie Polskiego Domu, interesującą scenografię do Akademii oraz ciekawie przygotowaną ekspozycję towarzyszącą składa Zarząd Białego Orła oraz Redakcja Stron



Ali Piecuch i Elżbiecie oraz Edwinowi Muranko za czas i pracę poświęconą rachunkowości Stowarzyszenia serdecznie dziękuje Zarząd Białego Orła.



Naszej Seniorce, Halinie Haleckiej, za pomoc w kuchni przy produkcji pierogów i gołąbków serdeczne podziękowania składa Stowarzyszenie Biały Orzeł.



Witkowi Szczurkowi składamy podziękowania za techniczną obsługę dźwięku w Domu Polskim podczas polonijnych imprez.

Tadeusz Cieński

ZE WSPOMNIEŃ OJCA

Poniżej już cytuję ojca:

„Była niedziela 10 września. Kiedy w mgłach wstającego poranka jechałem ku Warszawie, przypuszczałem w moim optymizmie, że zastanę stolicę rozanimowaną i podnieconą, ale nie zagrożoną, że nad jej bezpieczeństwem czuwają eskadry naszych samolotów, ściągniętych z frontu dla tego celu. Przecież w czasie tego tygodnia walk, nie widziałem w powietrzu ani razu polskich lotników.

Mijał mi właśnie na prawo park, mając po lewej dużą przestrzeń łąk, kiedy usłyszałem nagle dobrze znany mi przenikliwy warkot motorów nadlatujących z zachodu. Przez chwilę, w mojej naiwności myślałem, że będę świadkiem bitwy powietrznej. Przypuszczałem, że nasze lotnictwo wyleci naprzeciw zbliżającej się eskadry niemieckiej.

Lecieli nisko, pragnąłem ukryć samochód przed ich wzrokiem, stanęliśmy więc pod konarami parkowych drzew tak, by nie mogli nas spostrzec. W parę chwil później rozległo się wycie pikujących 'Stukasów' nad pobliskim miastem Błonie i prawie równocześnie usłyszałem ogłuszający huk wybuchających w miasteczku bomb. Niebawem nadleciał tuż nad wierzchołkami drzew, pojedynczy samolot z czarnymi krzyżami i z broni pokładowej zapolował na pastuszków i bydło. Oburzający i niehumanitarny był ten proceder lotników niemieckich, którzy ze specjalną pasją mordowali ludność cywilną,

rzucając bomby i ostrzeliwując z broni pokładowej zmasowane na drogach i miastach tłumy uciekinierów.

Nie mogłem zrozumieć gdzie podziewa się polskie lotnictwo, które nie wspomagało nas, ani nie broniło w walkach frontowych, a obecnie nie działało na przedpolu stolicy.

Ruszyliśmy w dalszą drogę, która prowadziła przez co dopiero



zbombardowane Błonie. Pożary srożyły się tak w śródmieściu, jak i na peryferiach. Drogę zalegały rozbite wozy, wiele trupów leżało zwęglonych, ranni jeszcze nie opatrzeni wołali o ratunek. W oknie jakiegoś domu zobaczyłem zwłoki mężczyzny, które wisały przez parapet okna na zewnątrz. Zginął zapewne od wybuchu bomby.

Był to najbardziej makabryczny widok osiedla, jaki widziałem w czasie Kampanii Wrześniowej.

Takimi metodami prowadzili tę wojnę Niemcy, którzy nawet nie wypowiedzieli jej formalnie, lecz wszczęli ją nocnym, nie

sprowokowanym napadem.

Pod wrażeniem zbombardowanych Błoni, kontynuowaliśmy drogę do odległej o zaledwie 25 kilometrów Warszawy.

Wśród tłoku taborów wojskowych i cywilnych dojechaliśmy już do zbombardowanych Jelonek, gdy ponownie zahuczały samoloty i na przedmieście zaczęły walić bomby. Orientując się w sytuacji i widząc, że zapełniona droga stanowi świetny cel dla lotników, poleciłem strzelcowi przy kierownicy by skręcił na drogę prowadzącą w prawo, gdzie mieliśmy lepszą szansę na uratowanie się. Po paruset metrach przejechaliśmy tor kolejowy, przy którym stał domek budnika. Droga była całkiem prosta i wchodziła w dosyć stromy wykop. Zbliżając się do tego wykopu

zobaczyłem na kilkadziesiąt kroków przed nami, dwóch lub trzech żołnierzy w hełmach obok karabinu maszynowego ustawionego na drodze.

Dawali nam ręką znaki byśmy się zatrzymali. Poleciłem strzelcowi by jechał dalej. W najbliższych sekundach kiedy zbliżyliśmy się na kilkanaście kroków poznałem, że to są Niemcy. Mijając ich dosłownie o krok zauważyłem zdziwione twarze patrzące na polskich żołnierzy. W parę chwil potem otrzymaliśmy serię z karabinu maszynowego po karoserii. Nie było gdzie skręcić, droga szła prosto jak strzełił

nasypem między mokradłami. Każda sekunda decydowała o naszym życiu. Zawołałem na strzelca, żeby zatrzymał wóz, a kiedy stanęliśmy, otworzyłem prawe drzwiczki wyskakując. Równocześnie popatrzyłem na prawo od siebie, gdzie stał karabin maszynowy niemiecki. Jeszcze dziś widzę błyski z jego lufy.

Jednym susem zeskoczyłem z nasypu i znalazłem się o kilkadziesiąt kroków od starej glinianki wypełnionej wodą i zarosniętej gę-



stym szuwarem. Było to moje jedyne schronienie w tej dramatycznej chwili.

Dobiegłem doń szczęśliwie i zatonczony krąg skryłem się w gęstym sitowiu, tak, że nie będąc widocznym z drogi, mogłem ją obserwować, stojąc po pół cholew w wodzie.

Uratowało mnie specyficzne stanowisko karabinu maszynowego, który mógł strzelać jedynie wprost przed siebie. Z chwilą kiedy nie trafił mnie w samochodzie, ani w momencie wyskakiwania, boczne pole widzenia było przestonięte szkarpa.

Nie wiem co się stało z moim strzelcem – kierowcą.

Tymczasem stałem ukryty w szuwarach z największym napięciem obserwując co się dzieje dookoła mnie. A działy się ciekawe rzeczy.

Otóż po chwili zauważyłem dwóch Niemców od tego karabinu maszynowego, którzy przystąpili do naszego samochodu trzymając broń gotową do strzału. Zostawiłem tam mój płaszcz wojskowy, futerał z lornetką, starą towarzyszką wojen i polowań i mapnik. Po

chwili buchnął wysoki płomień z podpalonego samochodu, a zaraz potem Niemcy pokazali się znowu na nasypie z karabinem maszynowym i otworzyli ogień na moją gliniankę, w której zarosłach, przycupnięty do granic możliwości,

oczekiwałem wyniku polowania na siebie. Niemcy słusznie sądzą, że jeżeli żyję, to muszę ukrywać się w sitowiu glinianki. Strzelali z odległości stu kilkadziesiąt kroków. Czułem się w owej chwili jak kaczką na pieniackim stawie w czasie polowania. Ratowała mnie gęstość zarośli, dająca mi pełne ukrycie. Strzelali nie widząc celu, natomiast wiedząc, że cel znajduje się na ograniczonej powierzchni stawu.

Ale i tym razem strzegł mnie św. Krzysztof. Po oddaniu paru serii, zniknęli z pola widzenia.

W międzyczasie trwały naloty na Warszawę i na przedmieścia.

Po pewnej chwili spostrzegłem tuż nad sobą o jakieś 4 metry, siedzącego wyrostka, w cyklistówce na głowie, obserwującego mnie. Dostyc miałem dowodów dywersji niemieckiej. Wystarczyło, by ze swego punktu obserwacyjnego dał znak Niemcom, którzy mogliby prosto z nasypu palnąć mi w łeb. Chłopiec nie przemówił do mnie ani słowa. Powziąłem ryzykowne postanowienie, ale chyba jedyne

w moim arcyniebezpiecznym położeniu. Wskoczę z mego ukrycia, przebiegnę odległość dzielącą mnie od szkarpy nad drogą, to jest nad miejsce gdzie stoją Niemcy i spróbuję z pistoletu zastrzelić ich. Wydawało mi się, że jeżeli tego natychmiast nie uczynię, w najbliższych chwilach chłopak sprowadzi Niemców, którzy mnie zabiją.

Popatrzyłem więc jeszcze na fotografie żony i dzieci, jak również na obrazek św. Krzysztofa i z wyciągniętym pistoletem w rękę wyskoczyłem z glinianki i biegiem zdążyłem ku domniemanym Niemcom. W momencie, kiedy się ruszyłem, chłopak zaczął uciekać. W minutę byłem nad drogą, gotowy do strzału, ale pode mną nie było już wrogów. Leżał tam rozbity motocykl, a przy nim zwłoki mężczyzny.

Nie natrafiwszy na nieprzyjaciela, rozglądałem się w sytuacji i zdecydowałem pobiec do najbliższego budynku, którym okazał się domek budnika. W czasie gdy biegłem, zostałem ostrzelany, ale nie reagując zmierzałem do celu.

Budynek był otoczony palisadą z podkładów kolejowych, a w niej była furtka. Przebiegłem przez podwórko i znalazłem się we wnętrzu. Była tam niewielka izba, z jednym podwójnym oknem o trzech wąskich szybach, zamkniętym na stałe, a na drugiej stronie było otwarte okno. W izbie znajdowała się dziewczyna, córka budnika.

Po chwili kiedy ochłonałem z mojego 'maratonu' i spojrzałem przez zamknięte okno, ku memu zdumieniu zobaczyłem trzech żołnierzy niemieckich w hełmach, wchodzących na podwórko. Bez namysłu wyciągnąłem pistolet i przez podwójne szyby okienka oddałem do nich trzy strzały. Odległość wynosiła zaledwie kilka metrów. Po trzecim strzale zauważyłem, że jeden z Niemców załamał się do tyłu. W tej chwili zniknęli mi wszyscy pod ścianą

domu. Nie namyślając się wiele, skoczyłem ku otwartemu oknu i wychyliwszy się, zwróciłem się w prawą stronę, spodziewając się ujrzeć wyłaniających się z za rogu domu Niemców. W tym momencie padł strzał, zostałem trafiony w prawe ramię. Szok był potworny, zdawało mi się, że bomba urwała mi rękę. Wyleciał pistolet, ręka zwisała zwrócona do wewnątrz, a rękawem puściła się wielka struga krwi.

Zdawałem sobie jeszcze sprawę, że jestem bezbronny, że Niemcy mogą wpaść do naszej izby i dobić mnie kolbami. Przekręciłem klucz w zamku drzwi utrudniając im chociaż w pewnej mierze ten zamiar.

Tymczasem krew lała się strumieniem. Skonstatowałem, że kula trafiła mnie wysoko pod pachą. Poprosiłem panienkę, by odpięła mi pas koalicyjny i ściągnęła ramię powyżej rany. Kiedy to robiła z płaczem, stwierdziła że i z pleców krwawię. Lewą ręką namacałem na łopatce w mundurze otwór od kuli.

Niemcy nie dobijali się do drzwi. Widocznie mieli mnie za zabitego, sądząc z szoku jaki mną rzucił do tyłu po strzale. Mogli też sądzić, że kilku nas znajduje się wewnątrz, więc woleli się nie narażać. W każdym razie zostawili mnie w spokoju, zajęci pewnie transportem zabitego, czy też rannego kolegi.

Kiedy oddałem trzy strzały przez podwójne okno, a następnie wychyliłem się patrząc na prawo, skąd spodziewałem się zobaczyć Niemców, którzy w tym kierunku zniknęli, przebiegłe sztuki obeszły dom dookoła i kiedy ich wyglądałem z prawej strony, oni już stali za lewym rogiem. Mieli mnie wówczas na fantastyczny strzał, do pasa wychylonego przez okno, oddalonego od wylotu lufy ich karabinu nie więcej niż dwa metry. Stałem do nich na skos, bokiem na podwyższeniu, mierzyli w lewą pierś, którą byłem do nich odwrócony, a jednak nie trafili!

Może działał strach, że ja w każdym momencie odwrócę się i strzelę, więc w zdenerwowanym pośpiechu źle trafili. Ponieważ kula była strzelona na ukos i z dołu poszła po linii kości ramieniowej strzaskawszy ją na bardzo dużej długości, minęła o 2 cm staw ramienia i wyszła tyłem w okolicy łopatki. Po rozbiciu kości ramienia, ręka trzymała się już jedynie na mięśniach i dlatego skręciła się ku środkowi. Szok był tak wyjątkowo silny, gdyż kula ugodziła mnie w swojej maksymalnej prędkości, zaledwie dwa metry po opuszczeniu lufy.

Tymczasem ze mną zaczęło się dziać niedobrze.

Ściśnięcie ręki pasem koalicyjnym nie dało żadnego rezultatu, gdyż zostało wykonane po rękawie munduru i koszuli. Krwotoku nie udało się opanować. Jak później lekarze stwierdzili została przestrzelona tętnica ramienia.

Oślabienie następowało w szybkim bardzo tempie.

Położyłem się na tapczanie. Zacząłem sobie zdawać sprawę że umieram. Nie żałowałem życia. Przecież dobrowolnie zgłosiłem się na wojnę. Musiałem wówczas przyjąć taką ewentualność, która w tej chwili nastąpiła. Smutno mi było za żoną i dziećmi, przykra była świadomość, że umrę daleko od swoich, że nikt nie będzie znał warunków śmierci ani miejsca mego grobu. Z Bogiem byłem pojednany i wiedziałem, że umierając za Polskę spełniam swoją powinność. Zdawałem sobie dokładnie sprawę, że los mój jest nieodwołalny i że nic nie potrafi ochronić mnie przed śmiercią. Pierwszy raz w życiu stanęły mi tak wyraźnie w świadomości słowa modlitwy: 'Módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej'.

Tak się więc przeżywa uczucia przedśmierne. Żadne wspomnienia z życia nie przychodziły mi na myśl.

Modlitwy przeplatałem

myślami o rodzinie i w takim stanie straciłem przytomność.

Jak mi lekarze potem mówili, to zemdlecie uratowało mnie właśnie od śmierci przez wykrwawienie. W czasie kiedy byłem nieprzytomny, puls opadł, krew poczęła wolniej krążyć, utworzył się zbawczy dla mnie skrzep w przestrzelonej arterii ramienia.

Skoro wróciłem do siebie, nastąpiła zasadnicza zmiana w moim samopoczuciu. Odczułem żywiołowy instynkt życia. Pragnąłem ratować się za wszelką cenę. Wierzyłem, że jeżeli dostanę się do szpitala mogę zachować życie, na którym obecnie szalenie mi zależało. Poprosiłem więc panienkę, by może znalazła księdza i jakiś wehikuł, który odwiózł by mnie do szpitala.

Leżałem na tapczanie, dziewczyna podawała mi wodę, krew przestała uchodzić z rękawa. Mundur cały, spodnie, buty, pokryte były skrzepłą krwią.

Po chwili zjawił się ksiądz i wypowiedział mi. Lecząc ku mojemu zdziwieniu, zaraz potem opuścił domek, biorąc jedynie adres mojego brata Włodka we Lwowie, z prośbą, by znalazł sposób zawiadomienia go w jakim mnie widział stanie. Pozostawienie mnie samego w stanie bliskim śmierci, bez okazania żadnej troski, nie mówiąc już o opiece, jest dziwne i nie godne naśladowania.

Dzielna dziewczyna w chwilę po przyprowadzeniu księdza, zatrzymała samochód z wycofującymi się policjantami i doprowadziła przed domek. Dziękując jej najserdeczniej za opiekę w najcięższych godzinach mego życia, wsiadłem do samochodu i ruszyliśmy ku Jelonkom drogą, którą jechałem w odwrotnym kierunku parę godzin przedtem.

*

Do domku budnika zaglądałem jeszcze kilkakrotnie. W czasie pierwszych odwiedzin,

pocziwa dziewczyna nie mogła mnie poznać w cywilnym ubraniu. Następnie zjawiłem się z moją żoną w maju 1940 roku. Opowiadała nam wówczas, że materac na którym leżałem został spalony, tak był nasiąknięty krwią. Pokazywała nam miejsca na ścianie świeżo bielone, by zakryć czerwone plamy.

*

Dojechawszy do Jelonek, wzięliśmy kierunek na Wolę –



Warszawę. Skoro mijaliśmy ostatnie domy przedmieścia, otrzymaliśmy silny obstrzał z prawej strony. Samochód zatrzymał się, kryty dużym murowanym parterowym domem, coś w rodzaju zajazdu. Opuściliśmy samochód i weszli do domu. Okazało się, że znajduje się w nim kilkunastu żołnierzy, którzy twierdzili, że skryli się tu przed nalotami. Obszedłem ostrożnie dom. Był on ostatni po prawej stronie drogi, dalej zaczynały się pola, a w odległości może 200 metrów, obszerne gospodarstwo, coś w rodzaju folwarku. Tam ulokowali się Niemcy i blokowali ruch na głównej drodze Błonie – Warszawa. Powyciągałem z domu żołnierzy którzy uzbrojeni byli w karabiny, jak również użyłem policjantów z którymi tu dojechałem i zorganizowałem obronę, tak niezbędną w tym miejscu. Pole buraków nie wykopanych ciągnęło

się od folwarku po drogę. Należało za żadną cenę nie dopuścić nieprzyjaciela, by przedostał się na drugą stronę drogi, wtedy bowiem wzięłby nas w dwa ognie i nasz dom przestałby być silnym miejscem oporu. Część żołnierzy umieściłem w oknach, innych za rogami domu, z dobrym polem widzenia i z doskonałym obstrzałem. Grube mury zajazdu dawały ochronę przed kulami nieprzyjacielskimi.

Co pewien czas obchodziłem stanowiska kontrolując żołnierzy i dodając im otuchy, gdyż przeżyli ciężkie chwile i do wojowania stracili ochotę. W pewnym momencie zauważyłem jak kilku Niemców ukrytych w burakach podczołgało się ku drodze. Kazałem otworzyć do nich intensywny ogień. Jaki był wynik strzałów nie mogłem obserwować, pozbawiony byłem moich szkieł, ale Niemcy wycofali się za mury folwarku. Od czasu do czasu przysiadalem na kamiennych stopniach przed domem. Ręka nieopatrzona, zwiślała nadal, ogromne sprawiając mi cierpienia.

Droga przed domem była wymarła. Pozostawione na niej pojazdy tłoczyły się w nieładzie. Leżały trupy końskie. Jeden koń wyprzęgnięty stał tuż przede mną, kryty rogiem domu. Wtem niespodziewanie kula niemiecka trafiła biedaka, a on waląc się na

mnie swoim ogromnym łbem uderzył w nieszczęsną prawą rękę, łamiąc mi ją nad napięstką. Co przechodziłem w tym momencie nie da się opisać.

Nasza placówka była ważna na tej magistrali prowadzącej z zachodu do Warszawy. Nie było chwilowo nikogo, kto mógłby mnie zastąpić. Poza kilkunastu żołnierzami i kilkoma policjantami, nie zjawił się ani jeden oficer. Już po nieszczęsnym wypadku z koniem nadeszła pielęgniarka z opaską czerwonego krzyża. Powiedziała, że ktoś doniósł, że przy drodze znajduje się ranny wojskowy. Ona to pierwsza opatrzyła mi ranę. O zdjęciu rękawa nie mogło być mowy, każde najmniejsze dotknięcie w okolicy ramienia i przedramienia sprawiało wściekły ból. Wielkiej ulgi doznałem kiedy pocziwa sanitariuszka ułożyła mi rękę na temblak.

Po opatrunku mogłem ponownie zająć się naszą nad wyraz ciężką sytuacją. Łączności żadnej z polskim wojskiem nie mieliśmy, wydawało mi się, że nie wiedziano na tym odcinku o naszej placówce.

Tak mijały godziny. Z mego stopnia kamiennego, na którym wiele przysiadawałem, widoczne były stalowe wieże stacji radiowej w Babcicach. Zbliżała się trzecia godzina, kiedy niespodziewanie zaczęły padać obok nas granaty niemieckie. Natychmiast zrozumiałem, że Niemcy z naprzeciwka, potrafili powiadomić swoją artylerię o naszej pozycji, a nie mogąc sami nic z nami wskórać, wezwali jej pomocy.

Skoro granaty zaczęły padać coraz bliżej, poleciłem naszej małej załodze wycofać się do budynku, pilnując bacznie, by nieprzyjaciel z naprzeciwka nie ruszył do ataku na nas. Sam stałem u wejścia do budynku.

Wtem uderzył granat w piętrowy dom po przeciwnej stronie drogi i zanim miałem czas cofnąć się do wnętrza naszego domu, drugi

UMIERAJĄCE CMENTARZE





Foto grafował Tadeusz Sawa -Boryslawski

uderzył tuż obok. Posypały się cegły, tynki, szyby, uniosła się chmura kurzawy, a ja uczułem równocześnie jakby silne uderzenie kamieniem w lewą pierś. Spojrzałem na to miejsce i zauważyłem na mundurze pod wstążkami dekoracji, trzy szarpane niewielkie otwory. Rozpiąłem bluzkę i na koszuli spostrzegłem krwawe plamy. Ponieważ znajdowały się na wysokości serca przeraziłem się mocno, rozsunąłem koszulę i zobaczyłem trzy ranki z których sączyła się krew. Głęboko odetchnąłem, nie odczuwałem żadnego bólu, chyba więc płuca nie zostały poważnie uszkodzone.

Podłożyłem chustkę, która w tej chwili była krwawą szmatką po poprzednich zranieniach. Choć rany, jak się to później okazało nie były groźne, ten trzeci już szok w przeciągu kilku godzin, jak również napięcie nerwów do ostateczności w wielogodzinnej walce spowodowały ogólne osłabienie.

Zrozumiałem, że nie jestem zdolny do dalszej walki i omdlewałem. Postanowiłem szukać jakiejś pomocy dla siebie. Oddałem dowództwo starszemu sierżantowi policji, byłemu wojskowemu.

Z ciężkim sercem opuściłem moich przygodnych podkomendnych. Wiedziałem, że nie mogę im się więcej przydać. Nastąpił ostateczny kres moich sił. Obowiązek żołnierski wypełniłem do końca."

Za tę walkę ojciec został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari i drugi już raz Krzyżem Walecznych.



Hanna Gurr Jazłowiecka

OBOZOWA RODZINA

Zdarzyło się dwa razy, że dotarły do nas paczki żywnościowe z Czerwonego Krzyża i odbywały się wtedy istne ucztę bogów. Czego tam nie było - kakao, masa z ziemnych orzeszków, czekolada, małe puszczone pasztetów, jajka w proszku, mięsa puszkowe i co tylko dało się wyobrazić! No i oczywiście kawa (używana przeważnie



w handlu z Niemcami) i papierosy Camele i - częściej - Raleigh'y. Ponieważ ty, Lodko, byłeś jeszcze niepaląca, miałam prawdziwe używanie, bo oddawałaś mi cały swój papierosowy przydział Raleigh'y miały na opakowaniu wizerunek mężczyzny w stroju, jaki nosił Henryk Walezy, z kryzą pod szyją, kapeluszem z piórem itp. Nazbierało się tych obrazków dość dużo, więc po dorysowaniu na nich wąsów, bród i innych detali żeby każdy z nich inaczej wyglądał - naklejałyśmy cały ich rząd na ścianie pomiędzy naszymi pryczami i tak powstała galeria przodków rodu baronostwa von Gurr. Z puszek po biskwitach zdjęłyśmy nalepkę przedstawiającą piknikującą na zielonym wzgórzu młodą parę. Poszła też na ścianę, powyżej galerii jako nasz „landszaft”. Historia naszego rodu została w ten sposób urealniona i reszta arystokracji w drużynie odnosiła się do nas z większym szacunkiem. Tak nam się przynajmniej zdawało. Zaczęłam tego Raleigh'a traktować coraz poważniej, nawet - nie pytając

go o zdanie - postanowiłam go naprawdę zaadoptować. Byłam przekonana, że Sir Walter Raleigh, taki przecież romantyk, nie będzie miał nic przeciwko przyjęciu młodej uczestniczki powstania do grona swej rodziny. Leżąc na pryczy patrzyłam na te „portrety”, marząc o Anglii i jej dawnej historii. Jeszcze jedna odskocznia od szarego obozowego życia. Paczkowe szaleństwo kończyło się w raczej krótkim czasie i trzeba było wracać do normalnego trybu życia jeńców wojennych. Pozostawały tylko wspomnienia...

*Paragwaj, Nowy Jork, Chicago,
W słowach dalekich słoneczny świat!
Zjadłam kakao z malagą,
Paczki z USA przywiął do nas wiatr!*

*Siedzę na pryczy pośród stosu puszek,
I chłonąc okiem stubarwne nalepki,
Czuje się prawie jak z bajki Kopciuszek,
Któremu z radości mieszają się klepki!*

*Pomyślcie, tylu, tylu obcych ludzi
Wkładało pracę w tę każdą małą rzecz!
Amerykański kontynent się trudził
Dla mnie Kriegsgefangene! To ci byczy skecz.*

*W swych śliwkach słońce śle mi Kalifornia,
Tuńczykiem pozdrawia daleki ocean.
Toż to szaleństwo! Luksusowa orgia!
Trzeba na ten temat setny uciąć pean.*

*Musze przyznać, że zamiast śliwek,
papierosów, drzemów
Zamiast biskwitów, sardynek i sera,
Kruszonek, cukru, witamin i kremów
Wołałabym jeden list od ciebie teraz!*

*Mały arkusik I tylko zdań parę
O wszystkim, co nasze, kochane i stare.
H.J.*

Potem, bliżej wiosny, gdy zaczęłam pracować w Eryce, przyniosłam znalezione na przedoboziu jakieś kwiatuszki. Pamiętam jak z wielkim trudem przecięłaś tępym nożykiem drewniane pudełko od tego spleśniałego sera, który czasem dostawałyśmy (mówiłyśmy wtedy, że porządny ser powinien być spleśniały, mimo, że trudno było przełknąć ten specjał). Zrobiłaś z niego miniaturową skrzyneczkę-ogród na kawałek okna przy twojej pryczy.

Inna roślina (chyba paproć) została umieszczona w ozdobnej powycinanej puszcze i stała na stołeczku między pryczami razem z fotografiami bliskich nam osób. Któregoś dnia – dziwo! Wypuściła nowy pęd. Wykorzystałyśmy to w specjalny sposób. Powiedziałyśmy „Skierce” śpiącej w twoich głowach, że w naszym rodzie oznacza to narodzenie potomka i spytałyśmy ją, czy może pomóc nam w tej sprawie przez zostanie naszą córką. Zgodziła się, a potem sprowadziła Zosika i baronostwo von Gurr mieli prawdziwa rodzinę. Następny „dodatek” Janka, to była już wnusia. Takim sposobem stałaś się mamą całej tej podgrupy i ten tytuł przylgnał do ciebie na stałe. Nawet później twój Staszek i jego koledzy, odwiedzając nas po uwolnieniu, tak ciebie nazywali. Nie mówiąc już o przyszłym sześciorgu dzieci. Ach jak płynie ten czas...

*

JEST TO FRAGMENT Z KSIĄŻKI
ZNAD DWÓCH OCEANÓW,
KTOREJ AUTORKAMI SA
HANNA GURR JAZŁOWIECKA I
LEOKADIA ROWIŃSKA.
WYDAWNICTWO EXLIBRIS

Ewa Korzeniowska

OJCZYŻNA TO ZIEMIA I GROBY

W jesienne dni Wszystkich Świętych i w Zaduszki w Polsce masowo odwiedza się cmentarze. W dymie kadzidła w kolorze jesiennych liści, w blasku zniczów i świec spotykają się w tych dniach na cmentarzach dwa światy: żywych i zmarłych. Żywi odwiedzają groby przystrojone wiecznie zieloną jedliną zapalając na nich ogień, układając kwiaty; ożywiają w pamięci tych, którzy odeszli. W te dni jak Polska długa i szeroka ognie na cmentarzach płoną długo w noc. A gdy cmentarze pustoszeją blask nad nimi pełen jest modlitw i szeptów, które są dialogami cieni. I czuje się wyraźnie w celebrze tych świąt pierwiastki pierwotne.

Pra-Słowianie wierzyli, że w noc zaduszną zmarli wstają z grobów i jednoczą się z żywymi. Dla wędrujących duchów, by łatwiej im było trafić w miejsce przeznaczenia, nasi pogańscy przodkowie rozpalali ogień na rozstajach dróg. Gotowali strawę, którą przybyli zmarli mieli się posilić po długich miesiącach grobowej głodówki. W okresie przedchrześcijańskim zmarłym oddawano hołd dwa razy do roku, wiosną i jesienią. Wraz z nastaniem katolicyzmu na ziemiach polskich Kościół, zwalczając pogańskie praktyki zmienił wiosenne święto umarłych w Dzień

Zmartwychwstania Pańskiego, a jesienne w Dzień Zaduszny. Z Zaduszkami związane są pogańskie obrządku tzw. dziady obchodzone w niektórych regionach naszego kraju jeszcze w XIX wieku. Adam Mickiewicz w Dziadach cz. II przywołała tę tradycję. Akcja tego widowiska kultowego rozgrywa się w noc zaduszną na cmentarzu, dokąd przybywają z czyśćca dusze szukające zbawienia. W przetworzonej formie prastare zwyczaje jeszcze dziś są obecne w polskiej tradycji oddawania hołdu zmarłym. W Ameryce Północnej przejęte z Europy zwyczaje o prastarej genezie przemieniły się w komercyjną maskaradę Halloween.

W pogańskiej Polsce zmarłych grzebano w sadach i pod progami chat. Po przyjęciu przez nasz kraj chrześcijaństwa chowano zmarłych w kościołach i na przykościelnych gruntach. Przy czym, imiennie, w kościołach tylko tych, którzy zasłużyli się w życiu świeckim lub dla Kościoła. Szaraczki spoczywały na kościelnych dziedzińcach anonimowo w zbiorowych mogiłach.

Dopiero w końcu XVIII wieku, między innymi z powodów sanitarnych, zaczęto cmentarze przenosić poza tereny miast. Pierwszy pozamiejski cmentarz w Warszawie poświęcono w

1781 roku. Początkowo budził on wielkie protesty wśród warszawiaków, którzy nie chcieli mieć "psiego pochówku" poza miastem. Przełomu w świadomości warszawskich mieszczan dokonał Gabriel Wodzyński, biskup smoleński. W publicznie odczytanej w kościele Świętego Krzyża swej ostatniej woli biskup wyraził życzenie spoczęcia na podmiejskim cmentarzu.

Jego pogrzeb na cmentarzu Świętokrzyskim odbył się 27 listopada 1788 roku. Inni poszli za jego przykładem.

W tych czasach cmentarze nie były jeszcze piękne. Zwyczaj upiększania miejsc grzebalnych przybył do Polski w początkach XIX wieku. Wtedy to powstawać zaczęły cmentarze-parki wysadzone żałobną roślinnością z wszechobecnym cyprysem, „wykrzyknikiem żalu”. W końcu XVIII wieku najnowocześniejszym cmentarzem w Europie była londyńska nekropolia w Brookwood. Miała własną pocztę i stację kolejową. Podzielona była na sektory w zależności od wyznania zmarłych i ich statusu społecznego za życia. W tym czasie powstało Pere-Lachaise w Paryżu, Powązki w Warszawie, cmentarz Rakowicki w Krakowie

i cmentarze podmiejskie w innych miastach. Na tych nowych nekropoliach każdemu zmarłemu przypadał imiennie kawałek ziemi, krzyż i wyryty w kamieniu napis z datą urodzin i śmierci i innymi informacjami dotyczącymi jego życia.

Historycznie cmentarze nie tylko były miejscem odpoczynku zmarłych, ale służyły także

miejscem narodowego kultu. Nawet podczas największej niewoli Polacy mogli gromadnie wylegać na cmentarze. U grobów polskich królów, narodowych bohaterów, powstańców, ofiar przemocy i terroru okupantów odbywały się wówczas masowe manifestacje narodowej przynależności o charakterze religijno-patriotycznym. Te groby, jak na przykład jeden z



Brama Cmentarza na Pęksowym Brzysku w Zakopanem

najnowszych, grób księdza Jerzego Popiełuszki na kościelnym dziedzińcu kościoła św. Stanisława na warszawskim Żoliborzu, to do dziś miejsce święte dla Polaków w kraju i na emigracji.

Spacer po cmentarzu może być bardzo pouczający. Polskie cmentarze są

żywym. W Średniowieczu na ich terenie odbywały się targi, przedstawienia misteryjne i pasyjne, były także cmentarze miejscem wymierzania kary. Ponieważ zawsze odtoczone były kamiennym murem, służyły w czasie wojen jako obiekty warowne. Dawały też azyl zbiegom i uciekinierom. W Polsce w czasach zaborów i innych okresach narodowej niewoli cmentarze i groby polskich męczenników stały się

historyczną kroniką Zmieniały swój wygląd wraz ze zmianą sytuacji politycznej, ze zmianami traktowania zjawiska śmierci, a także wraz z nowymi prądami w sztukach pięknych, które przez lata miały duży wpływ na kształtowanie krajobrazu polskich cmentarzy.

W czasach niewoli pomniki na grobach często były dziełami znakomitych artystów, zwłaszcza w okresie zaborów, gdy dla wielu

z nich cmentarz był jedynym miejscem, gdzie mogli publicznie pokazywać swoje prace. Tak jak w innych dziedzinach sztuki, w sztuce sepulkralnej reprezentowane są świeckie style artystyczne. Początkowo na cmentarzach królował neoklasycyzm nawiązujący do kultury szlacheckiej. Okresem, który wywarł duży wpływ na wzrost kultu zmarłych, wygląd nekropolii i ich znaczenie w życiu duchowym narodu był romantyzm. Groby utrzymane w duchu romantycznym, pełne ekspresji, strzeżone są czasem przez kamienne anioły. Czasem nawiązują do neogotyku: są ozdobne i pełne symboliki.

Dwudziestolecie międzywojenne to okres eklektycznej secesji i oszczędnego modernizmu. Wraz z nastaniem komunizmu zgrzebno-lastrykowe zrobiły się cmentarze z bezstylowymi grobami. W XXI wieku, tak jak wszędzie, wkroczyła na cmentarze pop kultura, nagrobki robione są masowo według sztancy i stosunkowo rzadko zdarza się jakiś wyjątkowy pomnik na grobie. Przeważnie można je zobaczyć w Alei Zasłużonych, gdzie groby wyraźnie odróżniają się od innych bądź swoim bogactwem, bądź prostotą. Istnieją też w Polsce cmentarze o własnym, odmiennym stylu. Do takich należy zakopiański cmentarz na Pęksowym Brzysku. Przy wejściowej bramie zaprojektowanej przez Stanisława Witkiewicza wita żywych aforyzm:

*„Ojczyzna to ziemia i groby.
Narody, które tracą pamięć tracą
życie. Zakopane pamięta.”*

Pamięta Zakopane. Pamiętają Polacy, dlatego wiele jest w Polsce cmentarzy. Przeważają katolickie, ale nie brak nekropolii innych wyznań: żydowskich, muzułmańskich, prawosławnych, łemkowskich, protestanckich. Każdy zmarły ma tam skrawek ziemi z pomnikiem, grobowcem, epitafiami, rzezbami. Ale polska ziemia naznaczona jest też setkami zbiorowych mogił. Są też wstrząsające bezimienne cmentarzyska koncentracyjnych obozów, gdzie ludzkie popioły pozbawione tożsamości zaścielają każdy skrawek ziemi. W dniu Święta Zmarłych i w Zaduszki tam też płoną znicze. Płoną też na ulicach Warszawy, gdzie znajdują się miejsca masowych egzekucji i tablice upamiętniające powstańców, na ulicach getta i w miejscach kaźni. Również płonie ogień na samotnych mogiłach przydrożnych i na górskich mogiłach. Pewnie płoną też znicze na polskich grobach poza krajem. Polacy spoczywają przecież na wszystkich prawie cmentarzach świata. Jednak na wielu polskich zagranicznych grobach będzie niestety ciemno, bo bliscy zapomnieli, albo ich nie ma, a na ziemi, na której pochowani są nasi rodacy nie ma zwyczaju palenia na grobach ognia...

W Kanadzie cmentarze wyglądają jak dobrze utrzymane ogrody o pretensjonalnych nazwach. W Victorii jest tylko jeden stary

cmentarz położony nad brzegiem oceanu, na którym znajdują się nagrobki bez wyrazu i rosną piękne stare drzewa. Choć znajdują się na nim przynajmniej trzy polskie groby, symbolika i architektura tego miejsca jest mi całkowicie obca. Polskie cmentarze są ciekawsze i bliższe mojemu sercu. W naszym kanadyjskim domu mówi się po polsku, ale moje dzieci nie rozumieją polskich sentymentów. Weźmy, chociaż Wszystkich Świętych czy Zaduszki. We mnie smutek, melancholia i zaduma, a one mają znaki zapytania w oczach.

- Mamo. Dlaczego jesteś smutna?
Przecież zbliża się Halloween!

A mnie, przybyszowi z Polski trudno zrozumieć, że w Ameryce Północnej dniem pamięci o zmarłych jest przypadający w maju Memorial Day, a cmentarze to parki pamięci, w których oprócz pogrzebów odbywają się śluby i inne imprezy o charakterze radosnym. Zamiast grobu każdy zmarły ma na trawniku przypominającym zielony aksamit tabliczkę z nazwiskiem. W parku tym rosną piękne drzewa, dekorują go rzeźby i kopie antycznych świątyń lub angielskich kościółków.

Na jednym z takich miejsc wiecznego spoczynku w Los Angeles znajduje się gigantyczny obraz Jana Styki, Zmartwychwstanie. Ogromne to dzieło pokazywane jest w specjalnie w tym celu

zbudowanym teatrze, bo w Ameryce cmentarz to niekoniecznie smutne miejsce, tak jakby tu nie sięgała przestroga *memento mori*. Inne jest tu też podejście do śmierci, która nie jest śmiercią opłakiwaną, a pogrzeb często w niczym nie przypomina polskiego obrządku. Wielu z tych, którzy odeszli nie ma nawet grobu, bo ich prochy rozsypane w jakimś miejscu stają się początkiem innego życia. Słyszałam nawet o tym, że przy współczesnym stanie technologii zwłoki ludzkie można przerobić na syntetyczny diament i oprawić go na przykład w pierścionku czy wisiorze. No cóż, co kraj to obyczaj, mówi stare przysłowie.

To nie moja tradycja. Trudno zrozumieć to moim kanadyjskim dzieciom czekającym z niecierpliwością na Halloween.

Ja nie czekam, bo nie lubię halloweenowych zwyczajów ani tutejszych cmentarzy. A jednak wielu na nich leży Polaków, może warto się na jakiś wybrać w Dzień Zaduszny, by na niektórych chociaż grobach zapalić świece? To taki piękny zwyczaj...

STRONY

REDAGUJE EWA CAPUTA
KONTAKT: ECAPUTA@SHAWCA

REDACJA NIE PONOSI ODPOWIEDZIAL-
NOSCI ZA POGŁADY AUTORÓW.

PYSZNY MIÓD

Od prawieków miód był używany jako lekarstwo na wiele różnych chorób. Większość nie pasteryzowanych miodów posiada antybakteryjne właściwości powodowane przez enzymy, które produkują *hydrogen peroxide*. Niestety wyparowuje on już z miodu po 6-ciu do 12-tu miesiącach.

Niektóre miody, tak jak **miód Manuka** z Nowej Zelandii posiadają innego rodzaju antybakteryjne właściwości, które nie mają nic wspólnego z *hydrogen peroxide*. Te właściwości trwają przez dłuższy czas, dlatego tego rodzaju miody noszą nazwę *active honey*. **Miód Manuka** produkowany jest z kwiatów dziko rosnącej w Nowej Zelandii, rośliny manuka. Antybakteryjny *Tea Tree Oil* jest produkowany z gałęzi tej rośliny.

Rozległe studia efektów działania **miodu Manuka** na ludzkie zdrowie były przeprowadzone między innymi przez profesora Petera Molana na Uniwersytecie WAIKATO w Nowej Zelandii i wykazały, że

nie pasteryzowany **Active Manuka Honey** zabija różnego rodzaju bakterie, a specyficznie bardzo złośliwą bakterię *Helicobacter Pylori*, która powoduje wrzody żołądka. Ten miód może również być stosowany do sporządzania kompresów leczących rany, oparzenia i infekcje skóry.

Poza leczniczymi właściwościami **Active Manuka Honey** jest niesamowicie pyszny do jedzenia.

Ułomną stroną tego miodu jest fakt, że ten miód w sklepach ze zdrową żywnością kosztuje \$30 za 500 gram.

Podczas mojej ostatniej wizyty w Nowej Zelandii zakupiłem niewielką ilość tego miodu od przyjaciela pszczelarza dla siebie, rodziny i przyjaciół, ale mam nadmiar na sprzedaż po bardzo dostępnej cenie \$12 za 500 gram, albo \$11 za słoik jeśli ktoś potrzebuje pudełko 12 słoików, albo więcej. Żeby zamówić proszę dzwonić na numer 250 486 0331, albo przez E-mail seagone@telus.net

Bogdan Majewski



Manuka

Bajeczki z morałem**Wróbelek**

Raz wróbelek Kurdupelek
gdzieś na dachu ćwierkał trele,
a tu pełźnie - jedno danie –
gąsieniczka na śniadanie.
Więc podfruwa i zamierza
skonsumować tego zwierza.
Już otworzył dziób szeroko,
a tu głos dochodzi z boku:
Ty chcesz podjąć smakowicie,
mnie zaś chodzi wręcz o życie.
Gąsieniczka więc się wzbrania
by ją wróbel zaraz z rana
dziobał sobie do śniadania.
Na to wróbel dobrodusznie –
mówisz chyba bardzo słusznie.
Mam więc zgola inną radę,
szefa kuchni weź posadę.
Trudno dziś o dobrą pracę,
a ja bardzo dobrze płacę.
Gdy cię połknę - zrobisz danie,
to co lubię na śniadanie.
Potem lecę na zebranie,
w okolicy się rozglądnę,
a ty możesz mieć wychodne.
Gąsieniczka się zgodziła,
w dziób Kurdupła wnet wskoczyła.
Wróbel cwaniak jakich mało,
jak powiedział tak się stało.
Wiele czasu nie minęło,
coś mu z kupra się wymsknęło.
Gąsieniczka tak dorodna
już do siebie niepodobna.
Bo posada bez wątpienia
wiele osób bardzo zmienia.

(kam)

Zaduszki 2009
REMEMBERING SEIFERT

International Polish Jazz Group



<i>Andrzej Olejniczak</i>	Saxophones (Bilbao, Spain)
<i>Jan Jarczyk</i>	Piano (Montreal, Canada)
<i>Darek Oleszkiewicz</i>	Bass (Los Angeles, USA)
<i>Janusz M. Stefanski</i>	Drums (Frankfurt, Germany)

24 October 2009 • 8PM • Norman Rothstein Theatre
950 West 41st Ave (at Oak), Vancouver BC
Tickets \$25, youth \$15 • Bar with beverages, coffee and sweets

Organizers look forward to your attendance and also kindly ask that you consider sponsoring this non-profit event. Any surplus money will be converted to a fund supporting young jazz musicians. Donations of \$100 or more will be listed in the final program. Those of \$200 and more will in addition receive two tickets in reserved section.

For tickets / sponsoring, please call:
604 351-3626 or 604 818-0650

24 DOROCZNY APEL NA RZECZ BIBLIOTEKI POLSKIEJ W MONTREALU

Tak jak w latach ubiegłych, tegorocznym celem zbiórki jest zebranie \$25,000. Tylko Polonia może zapewnić Bibliotece istnienie. Nikt inny tego nie robi.

Zwracamy się zwłaszcza do nowszej generacji Polonii, która przybyła do Kanady w latach osiemdziesiątych. Biblioteka powstała staraniem emigracji niepodległościowej, która powoli odchodzi. Czas by troska o utrzymanie Biblioteki poszła w młodsze ręce.

www.biblioteka.info



**Get your costume
ready for the
Annual Hallowe'en
Latin dance
with
Kumbia
at the
White Eagle
Polish Hall
90 Dock Street
Saturday October 31,
2009
Bar opens at 8:30
Dance starts at
9:00
Tickets \$10**